

A. K. GREEN.

## KTO MORDERCĄ?

10

Wziąłem flaszeczkę z gumą arabską i zacząłem uważnie badać resztki tego listu, by skleić je w należyty porządku. Gdy już nakleiłem dwa kawałki, spostrzegłem, że dwa następne winny się znajdować właśnie między temi. Jeszcze raz obejrzałem je starannie i wreszcie zlepiłem wszystkie tak, iż można było przeczytać oddzielnie wiersze.

— Dobrze pan to zrobił — rzekł Grys, gdy mu pokazał złożony cały arkusz — teraz jednak niech się pan mnie o nic nie pyta, a postara się sam wszystkiego domysleć.

— Zgoda — odparłem. — Zdaje mi się, że list ten napisano na papierze firmowym jakiegoś domu handlowego, jest tu bowiem słowo „Dom”. Co zaś do czasu kiedy go pisano, to widzę tu litery „rz” — co prawdopodobnie oznacza „marzec”. Autorem zaś jego jest Henryk Klawering — rzekłem na zakończenie.

— Na czym pan opiera swe twierdzenie?

— Zaraz panu dowiodę wszystkiego.

Wziąłem bilet, podpisany własnoręcznie przez Klaweringa i położyłem go obok sklejonego listu. Nie mogło tu być żadnej wątpliwości, że podpis na bilecie i na liście H... Kl... kładła jedna i ta sama ręka.

— Tak, to pisał Klawering — powtórzył Grys bez żadnego jednak zdziwienia.

— A teraz zajmijmy się treścią tego listu — rzekłem.

I zacząłem czytać po kolei, zatrzymując się w tych miejscach, gdzie litery były już starte:

„Wielce... pańska kuzynka... wychow... go-dna ...ości i zauf... każdego mężczyzny ...piękn... i czaruj... niema jednak róży ...kolców i ta ró... nie stan...tku... jest ona w stanie... kać... i mę... dowierzał jej... nie wie-rzy... spoj... piękn... i okrut... twarz. H... Kl...”

— Wygląda to tak, jakby piszący oskarżał o co jedną z kuzynek Lavenforta — rzekłem i sam przestraszyłem się swych słów.

— Dlaczego? — zapytał Grys.

— Słyszałem już bowiem o tym liście. Zawiera on rzeczywiście skargę na jedną z kuzynek zamordowanego i napisał go Klawering.

Opowiedziałem mu przytem szczegółowo swą rozmowę z Herwelem z powodu tego listu.

— Aha, a więc Havel przemówił. Sądziłem już, że złożył przysięgę na milczenie.

— Przez cały ten tydzień widywałem się codziennie z Herwelem, musiał więc do mnie coś mówić.

— I utrzymuje on, że czytał list, napisany do nieboszczyka przez Klaweringa?

— Tak, lecz udaje, że zapomniał treści listu.

— Te urywki jednak przypomniłyby mu wszystko.

— Lepiej nie wspominać mu, że list ten mamy — poradziłem; — o ile to możliwe, należy obywać się bez obcej pomocy.

— Zgadza się z panem — odrzekł Grys dość ochle.

Wziąłem się znowu do odczytywania listu i po dość długich wysiłkach zdołałem wreszcie dojść do następującego rezultatu:

„... Dom marzec 1876 r.

„Wielce Szanowny... pańska kuzynka, wychowana przez pana, gołna miłości i zaufania każdego mężczyzny. Jest ona piękna i czarująca, niema jednak róży bez kolców i ta róża nie stanowi wyjątku: jest ona w stanie... kać i męczyć... dowierzał jej. Jeżeli pan nie wierzy, proszę spojrzeć... piękną i okrutną twarz. Henryk Klawering”.

— To nam wystarczy — rzekł Grys, gdy mu przeczytał rezultat swej pracy — treść tego listu zupełnie wyraźna, a myśmy tego tylko potrzebowali.

— Ton tego listu nie bardzo pochylnie świadczy o osobie, o której jest w nim mowa. Według wszelkiego prawdopodobieństwa autor tego listu został ciężko przez nią obrażony, mimo iż podnosi jej piękność i inne zalety.

— Tak, zdarza się nieraz, że następstwem podobnej obrazy bywa przestępstwo.

— Zdaje mi się, że wiem, na czym polegała ta obraza — odpowiedziałem — na razie jednak nie mogę nic więcej panu dodać, dopóki nie znajdę dowodów, że przypuszczenia me są słuszne.

— A więc list ten nie okazał się brakującym ogniwiem w łańcuchu różnych dowodów?

— Nie, daje on mi jednak cenne wskazówki.

— W każdym razie list ten musiał mieć wielkie znaczenie, w przeciwnym bowiem razie miss Eleonora nie narażałaby swej czci, zabierając go z biurka nieboszczyka i...

— Niech pan się wstrzyma — zawołałem — dlaczego pan twierdzi stanowczo, że miss Eleonora wzięła ten list z biurka nieboszczyka?

— List ten znaleziono razem z kluczem w kominku i był on, jak i klucz, powalany krwią.

Pokiwałem tylko głową: Eleonora mówiła mi, że dokument ten zniszczyła zupełnie.

— Dlaczego pan kiwa głową? — spytał Grys.

— Ponieważ nie przekonał mnie pan.

— Jakto?

— Po pierwsze Fobbs nie wspominał wcale, że widział u niej w ręku papier, gdy się nachylała nad kominkiem, kawałki więc te mogły już tam leżeć poprzednio. Ponadto mają one wygląd, jakby używano ich do papilotów, a to chyba nie odpowiada wcale pańskiej hipotezie.

— Prawdziwie zdumiewa mnie pańska przenikliwość — odezwał się Grys, przypatrując się uważnie memu krawatowi.

Zmieszałem się nieco z powodu tej niespodziewanej pochwały i zapomniałem:

— A pan co myśli o tem?

— Przecież pan wie, że od chwili, gdy sprawę tę oddałem panu w ręce, nie myślałem wcale o niej.

— W każdym razie...

— W każdym razie jest to pewnem, że list ten leżał na biurku Lavenforta w chwili jego śmierci, że Eleonora wzięła go po przeniesieniu zwłok do innego pokoju i schowała do kieszeni, a potem postarała się uwolnić od agenta i rzuciła klucz do kominka, a przedtem zaś uczyniła to samo z listem. Są to fakty, wniosek zaś może pan wyprowadzić z nich sam.

— Dobrze, powstrzymam się jednak od tego wniosku, dopóki nie dowiem się napewno, czy przypuszczenia me są słuszne, czy też fałszywe.

Poprosiłem jeszcze Grysa, by dał mi na wszelki wypadek adres agenta, zwanego „Czułym węchem” i pożegnawszy się z nim, udałem się wprost do pana Beleya.

## XVIII.

— A więc pan nigdy nie słyszał o okolicznościach, towarzyszących temu ślubowi?

Takie pytanie zadał mi pan Beley, gdy go prosił o wytłómaczenie, dlaczego nieboszczyk Lavenfort tak nienawidził Anglików.

— Nie — odpowiedziałem.

— Nie można się temu nawet i dziwić — rzekł, podnosząc się na poduszkach (był jeszcze rekonwalescentem) — najwyżej może sześć osób tylko żyje, które mogłyby powiedzieć, gdzie i w jakich okolicznościach Lavenfort spotkał piękną pannę, z którą się ożenił.

— Pan jednak zna te okoliczności?

— Owszem i gotów jestem opowiedzieć panu wszystko, jeżeli to choć trochę pomoże tej sprawie. Horacyusz Lavenfort był w młodości bardzo ambitny i zamierzał ożenić się z pewną bogatą Amerykanką. W interesach handlowych udał się do Anglii i tam poznał inną, bardzo piękną damę, która tak go oczarowała, iż wyrzekł się bogatej Amerykanki; interesa jednak jego były wówczas tak złe, iż myśleć nawet nie mógł o żenieniu się. W dodatku ukochana jego nie miała żadnych funduszy, natomiast ciężar w postaci małego dziecka, które wychowywała; rodzice jego byli nieznani, ona zaś sama nic o nich mówić nie chciała. Jak jednak często bywa, namiętność okazała się silniejszą od rozsądku i Lavenfort poprosił jej o rękę. Potem dopiero opowiedziała mu smutną historię swego życia. Z urodzenia była Amerykanką — ojciec jej był znanym kupcem w Chicago — i dopóki żył, nie zbywało jej na niczem, umarł jednak w chwili, gdy ona zaczęła dorastać i nosić długie suknie. W dzień pogrzebu ojca spotkała pewnego Anglika, który zniszczył jej życie. Umiął on oświadczyć sercem niedoświadczonej panny, prawie dziecka i wkrótce ją poślubił. Pierwszego zaraz dnia po ślubie wrócił do domu pijany i uderzył ją. Był to jednak dopiero początek. Gdy się okazało po likwidacji interesów jej ojca, że spadek po nim nie jest tak wielkim, jak się spodziewano, mąż zawiódł ją do Anglii, gdzie w dalszym

ciągu znęcał się nad nią. Mimo to męża jej nikt nie uważał za ordynarnego i nieinteligentnego; był to bardzo elegancki mężczyzna, który raczej rzuciłby ubranie jej do ognia, niż zgodziłby się, aby żona jego ukazała się w niegustownej toalecie. Te okrucieństwa znosiła aż do urodzenia dziecka, poczem uciekła od męża i za trochę swych kosztowności założyła niewielki sklepik. O mężu swym nic już potem nie słyszała i dopiero na kilka dni przed poznaniem się z Lavenfortem, dowiedziała się z gazet, że umarł. Wtedy była już wolną, lecz chociaż kochała Lavenforta z całego serca, nie chciała wyjść za niego. Wstyd i poniżenia, jakich doznawała ze strony pierwszego męża, wywarły na niej takie wrażenie, iż uważała się za niegodną zostania jego małżonką. I dopiero, gdy po kilku miesiącach dziecko jej umarło, zgodziła się wyjść za Lavenforta. Odwiozł ją do Nowego Jorku. Interesa poszły bardzo dobrze, tak iż mógł otoczyć ją zbytkiem. Mimo to, nieszczęścia, jakich doznała poprzednio, nadszarpały tak jej zdrowie, iż po dwóch latach zmarła na jego rękach. Cios ten strasznie dotknął Lavenforta. Chociaż w krótkim czasie wziął do siebie Mary i Eleonorę, z poprzedniej radości życia nie pozostało w nim ani śladu. Żony swej nigdy nie mógł zapomnieć i najmniejsza wzmiątka a Anglikach doprowadzała go do wściekłości...

Gdy schodził po schodach, przypomniałem sobie, że mam przy sobie list dla Freda, syna pana Beleya. Nie wiedząc, w jaki sposób mu go wręczyć, postanowiłem zostawić go na stole w bibliotece, znajdującej się obok gabinetu. Zapukałem do drzwi, a ponieważ nikt mi nie odpowiadał, zajrzałem do środka. Pokój ten oświetlony był tylko ogniem z kominka, przed którym siedziała jakaś dama. Wziąłem ją z początku za panią Beley. Gdy jednak podszedł bliżej, przekonałem się, że się pomylił. Była to wysoka, elegancka dama, w niczem nie przypominająca szczupłej i niskiej żony mego starszego kolegi.

— Przepraszam — rzekłem i chciałem się cofnąć z pokoju.

Naraz jednak wydało mi się, że jest ona podobna do Mary Lavenfort. Postąpiłem kilka kroków naprzód i zapytałem.

— Mam zaszczyt mówić z miss Lavenfort?

— Owszem — odpowiedział mi miły głos, a gdy zbliżyłem się, zobaczyłem, że przedemną siedzi nie Mary, ale Eleonora, która od pierwszego wejścia podbiła me serce i której męża postanowiłem ścigać do ostatka.

Zdziwienie moje było tak wielkie, iż nie mogłem go zupełnie ukryć. Cofnąłem się też zaraz i szepnąwszy kilka słów przeproszenia, chciałem wyjść, czułem bowiem, iż nie jestem w stanie z nią rozmawiać. Powstrzymała mnie jednak zaraz:

— Czyż pan zamierza odejść, nie odezwawszy się do mnie ani słowem? Czyż tak pana zdziwiła moja tutaj obecność?

— Nie wiem... nie spodziewałem się... — odrzekłem zakłopotany — słyszałem, że pani jest chora, nigdzie nie wychodzi i nikogo nie przyjmuje, nawet swych przyjaciół.

— Tak, byłam chora. Obecnie jednak czuję się już lepiej i chciałam wieczór spędzić z państwem Beley. Osamotnienie moje zbyt mi jest przykrem.

— Sądzę, że lepiej byłoby, gdyby pani przynajmniej na razie tu zamieszkała — rzekłem. — Zamieszkanie pani w pokojach umeblowanych zasmuciło nas wszystkich.

— Żałuję, bardzo, lecz w obecnych warunkach winnam pozostawać samą. Za towarzyszkę mam małą dziewczynkę, w której niewinnych oczkach znajduję wiele dla siebie pociechy. Najgorszem dla mnie jest to, iż nie wiem, co dzieje się w naszym starym domu. Co porabia Mary? Może pan opowie mi co o niej? Pani Beley nie mogła o to pytać. Jest ona dla mnie bardzo dobrą, nie podejrzewa jednak nawet, że między nami zaszły nieporozumienia. Sądzi, że był to tylko kaprys z mej strony i wyrzuca mi, że opuściłam swą kuzynkę. Pan jednak wie, że nie mogłam postąpić inaczej i że... — głos jej zadrał i nie skończyła już zaczętego zdania.

— I ja nie mam wiele do opowiedzenia — odparłem — w każdym razie nie ukryję przed panią niczego! Może pani zechce zadać mi jakie pytanie?

— Chciałabym wiedzieć, jak się czuje Mary, czy się już uspokoiła?

— Kuzynka pani chora nie jest, spokojną jednak nazwać jej nie mogę. Ciągłe jest podniecenie, a zrazem i przygnębienie, lecz przyczyną tego stanu jest przede wszystkim niepokój o panią.

— Widuje więc pan ją często?

— Pomagam panu Havelowi w wydaniu książ-